HOLLYWOOD

PTASIA ULICZKA KOMEDY

WIZJA LOKALNA

TOMASZ ŁACH

Tomasz Lach

HOLLYWOOD

PTASIA ULICZKA KOMEDY

Krzysztof Komeda w Hollywood
Wizja lokalna

Jazz Forum 2024

Fotografie na okładce: Marek Niziński,Tomasz Lach
Projekt okładki: Krzysztof Lach-Kubica
Skład i redakcja: Krzysztof Lach-Kubica
Copyright © 2024 by Tomasz Lach
Druk: ABC Zakład Poligraficzny
Wydawca: Jazz Forum
ISBN: 978-83-936614-3-5

Wydanie bezpłatne dołączone do Jazz Forum 12/2024
Not for sale

Kiedy w kwietniu 1968 roku George Rosenthal, deweloper budowlany z Los Angeles oraz Hugh Hefner, kreator miesięcznika Playboy rozpoczęli rozbudowę usytuowanego przy hollywoodzkich wzgórzach Beverly Hills hotelu Sunset Marquis, mieszkający w nim od kilku miesięcy Krzysztof Komeda odrzucił propozycję kontynuacji pobytu w jednym z nowych hotelowych pawilonów. Dziwne...

Komeda pojawił się w Los Angeles w grudniu 1967 roku, aby komponować i nagrać muzykę do „Rosemary's Baby", pierwszego hollywoodzkiego filmu Romana Polańskiego. Po kilku tygodniach pobytu w apartamencie Polańskiego, kiedy dotarła do LA jego żona, Zofia Komedowa, para przeprowadziła się do Sunset Marquis. I to nie byle gdzie, bo do apartamentu na pierwszym piętrze z oknem na hotelowe patio z basenem. Do obiektu zazdrości pozostałych hotelowych gości, a właściwie „artystycznych okupantów", ponieważ wiadome było, że każdy ceniący się i ceniony, o ile młody – goszczący na występach w LA artysta musi, i to koniecznie musi zameldować się w tym właśnie hotelu. Aa... i jeszcze Komedzie wstawiono dźwigiem budowlanym przez to okno pianino. Więc czemu nie?

To wiemy. Komeda opowiedział i opisał w listach swoim bliskim kumplom, a Zofia wyznała, oczywiście w poufnej tajemnicy swoim najbliższym kumpelkom a kumpelki... Normalka. Wiadomo już było, że Zosia ani takiego Hollywoodu, ani takiej „Ameryki", ani takiego amerykańskiego Komedy już raczej nie chce, a nawet p....., natomiast Krzysio i owszem oraz zachwycony. No i paszport służbowy. Dwuletni, więc gdy po takim sukcesie w „USA" wróci do kraju, aby go przedłużyć, to być może pozostanie w peerelu już na zawsze. Więc co, emigracja? I dokąd jak nie tutaj, gdzie już po kilku miesiącach zaczyna być postrzegany jako pojawiająca się na hollywoodzkim firmamencie muzyczna gwiazda. Komedowie zaczęli się rozstawać. Po drugie pianino. No właśnie, tylko pianino w hotelowym pokoiku, a Komeda jest przecież nie tylko filmowym kompozytorem. Jest jazzmanem, a to nieźle słychać. Oraz nie tak słychać, jak on tego wymaga, kiedy w sąsiednich apartamentach i na patio z basenem co noc balanga. A i Zosia. Może chciał ją zatrzymać obietnicą domu z ogródkiem i spokojnego, rodzinnego życia, o którym marzyła. Zaczął szukać.

HOLLYWOOD

Panoram Hollywood. / fot. T. Lach

Zbyt długo i w zbytniej tajemnicy z pomocą wyłącznie jednego z nowo poznanych hollywoodzkich kumpli, fotografika Marka Nizińskiego. A jak już znalazł i tylko jeszcze to tam, czy też tam tamto... Zofię jasny szlag trafił i wyjechała. Gdzie szukał i dlaczego tam, gdzie swoje nowe miejsce znalazł, znalazł? To pierwsza zagadka.

Najprościej byłoby szukać oferty wynajmu za plecami hotelu na dziesiątkach, setkach krzyżujących się pod prostymi kątami wąziutkich uliczek z tysiącem małych, parterowych domków skrywających poza sobą słodziutkie ogródeczki. Niektóre z domów zadziwiająco „obszerne", w podstawie nie mniej niż 50-metrowe i te nabrzmiałe kalifornijską zielenią ogrody. Nawet na dziesięć kroków! A do tego wszystkiego, gdyby tak powędrować piechotą w lewo, to max. 45 minut do biura przepustek Paramount Pictures, filmowej korporacji, dla której pracował, lecz nie, nic więcej banalnego! Koniec mdłej, nudnej codzienności. To po pierwsze, natomiast po drugie... Uliczki wąziutkie i bez chodników, a do tego jest jeszcze trzy – piechotą?

A więc może poszukać nowego miejsca zamieszkania w zasięgu wzroku?

Na przykład. Patrząc z okna Whisky Baru, nad wejściowymi drzwiami do hotelu w stronę widocznych w oddali za odległą zaledwie o kilkaset metrów, hollywoodzką arterią Sunset Avenue wzgórz i dachów niewielkich białych domków. Daleko nie szukał. W linii prostej kilometr.

To są Bird Streets – Ptasie ulice. Wąskie i kręte uliczki wciśnięte pomiędzy Zachodnie wzgórza Hollywood i Beverly Hills. Przypisywane raz tu, a raz tam w zależności od tego, kto chciał na nich coś wybudować, a zwłaszcza sprzedać. W 1968 roku nie stanowiły jeszcze, z kilkoma wyjątkami, szczególnych obiektów zainteresowania.

Pnące się wyciętymi pod zabudowę tarasami ku górze zbocze nie sprzyja okazalszym zabudowaniom. Kilka najniższych półek jeszcze tak, tu można wygospodarować na niewielkich, wgryzionych w zbocza działkach stokowe ogródki, ale powyżej już nie. Znacznie powyżej. Podstawa Bird Streets, Bulwar Zachodzącego

Słońca przebiega na wysokości około 80 metrów nad poziomem morza, nad niedalekim kurortem Santa Monica. Najwyższa półka Ptasich ulic, ta z najwspanialszym, zapierającym dech w płucach widokiem na całe Miasto Aniołów, to prawie 300 metrów. 220 metrów przewyższenia na odcinku trzech kilometrów wijącej się żmijowato po urwistych zboczach drogi. Wysoko.

No i grunt pod nogami, pod szpadlem inwestora. W kolejności w głąb... dwa metry gliny ilastej – takiej żółtoczerwonej jak ta meksykańska, trzy metry mulistej z kamieniami i trzy gliniasto-

Wjazd na Bird Streets. / fot. T. Lach

-piaszczystej z głazami. Dopiero tam mało stabilna skalna podbudowa. To pozostałość po rzece sprzed milionów lat. A i uskok kontynentalny oraz drzemiący w pobliżu mega wulkan.

Gdyby w LA pojawiła się taka, jak w Środkowej Ameryce, solidna pora deszczowa to Bird Streets spłynęłyby jako pierwsze na Bulwar Zachodzącego Słońca, druzgocząc wszystko na swojej drodze.

Najpiękniejsze, lecz i najdziksze są trzy górujące nad pozostałymi poziomy. Ulice: Oriole Drive z cul-de-sac, kilkusetme-

trową ślepą odnogą Oriole Lane, górująca nad nią krótka i również cul-de-sac Skaylark Lane oraz najwyższa po tej stronie zbocza: Blue Jay Way. Ta ostatnia wyjątkowa, o czym pewnie opowiemy, ale nie teraz, ponieważ w hollywoodzkiej historii Krzysztofa Komedy najważniejszy jest dom, a raczej domek przy Oriole Lane 1540.

Posadowiony na niewysokiej, wciętej w skarpę półce. Wręcz do niej przytulony swoją tylną ścianą z malutkim, kilkunastometrowym ogródkiem oraz sporym, jak na tę okolicę, nerkowatym basenem. 2,5 na co najmniej cztery metry. Wszystko niewielkie, a nawet małe począwszy od wejścia przez metrowy ganek do dziennego pokoju z kuchenną wnęką i wyjściem na ogródek, maciupcią łazienką i sypialnią z oknem na ulicę...

Parterowy, stumetrowy w podstawie dom w stylu hiszpańsko-meksykańskim, trochę jak pueblo. Ściany z gliniastych bloczków adobe, łukowate podcienia i zacierane ręcznie, rudo beżowe i pofałdowane wapienno-piaskowe tynki stucco. Jednostronnie pochyły, prawie płaski dach pokryty rdzawoczerwoną ceglaną dachówką. Wczesno kalifornijski styl Adobe.

Wtedy, ponieważ obecnie dom jest kompletnie przebudowany. Neo modernistyczny płaski betonowo-szklany klocek rozbudowany na boki, aż do krawędzi skarpy i ulicy, pokryty zielonym kobiercem, czy też czymś przypominającym siatkę maskującą czołgi. Rewelacja! Natomiast basen zmniejszony o połowę.

Jak i ogródek, wyniesiony jeszcze o metr do góry i podparty od strony ulicy potężnym żelbetowym murem. Tak, jak wszystkie pozostałe domy. Jedenaście.

Wtedy, w 1968 roku prawie identyczne. Działki również podobne, osiemsetmetrowe. Jedynie w punkcie najwyższym, na końcu ślepej uliczki stoi wyglądający na znacznie starszy parterowy dom w stylu europejskim. Zapewne to dom byłych właścicieli całej Oriole Lane i była to jedynie droga dojazdowa do tej wówczas odosobnionej na dzikich wzgórzach posiadłości. A potem nadszedł hollywoodzki boom budowlany przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych. To dom z 1946 roku, natomiast pozostałe powstały dekadę później, więc być może właściciele podzielili teren, poszerzyli ulicę i wybudowali osiedle pod wynajem.

A może było inaczej...

Matka Marka Nizińskiego, Ewa Krzyżanowska twierdziła, że domki przy Oriole Lane były inwestycją aktora Gregory Peck'a, a nawet, że tam osobiście bywał. Twierdziła również, że wie, co mówi, bo niejedno słyszała. Faktycznie, mogła usłyszeć niejedno, ponieważ przez trzy dekady była zarządzającą domami hollywoodzkich gwiazd. Zsa Zsy Gabor, Freda Astaire'a oraz Barbry Streisand, a Gregory Peck, jeden z najszczelniej chroniących swoją prywatność ówczesnych celebrytów... Inwestowanie w ziemię, aby następnie budować tam nieruchomości, było wówczas bardzo popularne. Tinseltown – miasto błyskotek, jak wtedy

Współcześnie – dom Komedy na Oriole Lane. / fot. T. Lach

nazywano Hollywood z „Platinum Triangle" – terenami powyżej Bulwaru Zachodzącego Słońca, to w latach pięćdziesiątych jeden z najgorętszych inwestycyjnych biznesów w Stanach.

W 1955 roku Gregory Peck opuścił swoją pierwszą żonę oraz nadmorski dom w Pacyfic Palisades i postanowił wybudować nowy. I wybudował, przy jednej z jeszcze nie tak elitarnych ulic na Holmby Hills, zamieszkując w nim wraz z drugą żoną w 1959 roku. W domu oddalonym od rezydencji Freda Astaire'a o niecałe dwa kilometry. Na tych samych zachodnich holly-

woodzkich zboczach i zaledwie cztery kilometry od Oriole Lane.

A i panowie byli zaprzyjaźnieni i jeszcze Ewa Krzyżanowska prowadziła dom Astaire'a. No więc...

Domek Krzysztofa był na sprzedaż za trochę ponad 60 tysięcy dolarów. Wtedy majątek, ale i teraz wyceniony jest na 3,5 miliona.

Niewielki i wysoko, wtedy z fatalnym dojazdem, ale ze wspaniałym widokiem na Miasto Aniołów. Teraz już nie, ponieważ neo modernistyczna i zaborcza, dzika rozbudowa okolicznych domów przesłania większość pejzażu, lecz nadal wychodząc przed dom, czy też spoglądając z ogródka widać w oddali dachy co wyższych domów przy Hollywoodzkiej Alei. A wtedy dach najwyższego z ówczesnych budynków, Hotelu Roosevelta. Wówczas najpopularniejszego z hollywoodzkich hoteli. To tam 16 maja 1929 roku wręczono pierwsze Oscary i to tam, na co jest mnóstwo dowodów, solidnie straszy.

Co, czy też kto? Po hollywoodzku straszy. Aktorki i aktorzy, którzy tam kiedyś bywali. Na czele z Marilyn Monroe. Mieszkała w pokoju nr 928 przez dwa pierwsze lata swojej kariery, ale straszy w apartamencie nr 1200, bo tam mieszkało się jej najwygodniej. Straszy, ukazując się w starym dwumetrowej wysokości lustrze, więc całą swoją osobą. Lustro przewieszono na hotelowy korytarz, ale to jej nie zniechęca.

Roosevelt to jeden z czterech związanych z historią filmu hollywoodzkich hoteli. Pierwszym był Hollywood Hotel. Dawno wyburzony, ale na jego miejscu znajduje się budynek Dolby Theatre, w którym wręczane są Oscary. Oraz ten najmniej dostępny i najdroższy, hotel hollywoodzkich artystycznych elit – Chateau Marmont.

To w nim od czasu do czasu wynajmował apartament Krzysztof Komeda. I to na papeterii tego hotelu pisali listy bliscy Krzysztofowi: Wojciech Frykowski i Elana Cooper. Tyle tylko, że Komeda już leżał nieprzytomny w szpitalu. A oni nadal, przez dwa tygodnie w hotelu... solidna zagadka.

No i Sunset Marquis, ale to już wiemy, natomiast jest jeszcze jeden hotel, w oscarowej historii najważniejszy. Biltmore Hotel. Usytuowany w biznesowej części Los Angeles, w latach trzydziestych XX wieku był najznakomitszym i największym hotelem na zachód od Chicago. To w nim 11 maja 1927 roku nastąpi-

ROOSEVELT

ło pierwsze zgromadzenie AMPAS – hollywoodzkiej Akademii przyznającej Oscary i tam też, w trakcie tego posiedzenia powstał projekt oscarowej statuetki nakreślony na restauracyjnej lnianej serwetce. Tam również, w latach 1931-1942 odbyło się osiem oscarowych gali. A do tego wszystkiego nocami strasznie straszy...

Repertuar jest raczej bogaty, więc tylko o tym strachu najstraszniejszym. Czarna Dalia.

Elizabeth Short, szczupła i atrakcyjna, 22-letnia brunetka ubrana w czarny, elegancki kostium pojawiła się w hotelowym lobby dziewiątego stycznia 1947 roku. O 18:30 i pozostała tam przez cztery godziny. Wyraźnie czymś bardzo zdenerwowana chodziła, przysiadała w fotelach, telefonowała z budki telefonicznej i dopytywała w recepcji czy nie było do niej telefonów. A potem wybiegła bez słowa w ciemną, zamgloną noc.

15 stycznia o poranku odkryto w oddalonym od hotelu o wiele mil podmiejskim parku porzucone kobiece zwłoki. Pozbawione krwi, przepołowione i zmasakrowane, ale starannie ułożone w domyślnie rytualny sposób. To śledztwo nigdy nie zostało zamknięte a okrutny, dysponujący fachową medyczną wiedzą sprawca nie został ujęty, ale coś tam po Czarnej Dalii jednak pozostało...

Zwłaszcza nocami, na korytarzach 10 i 11 piętra Hotelu Biltmore, gdzie spaceruje, próbując wchodzić do pokoi oraz w hotelowych windach, którymi regularnie jeździ. Nadal przystojna i elegancka, chociaż zadziwiająco blada w swoim znakomicie skrojonym czarnym kostiumie tylko tak stąpa powolnie korytarzami lub stoi w windzie. Milcząca i w kompletnym bezruchu, patrząc gdzieś tam przed siebie, nic nie widzącym, martwym wzrokiem.

To nie jest jakaś tam wydumana bajka, są poświadczone pisemne świadectwa, a nawet fotografie.

Natomiast bajką jest rozpowiadana „skrycie" przez hotelowy personel informacja, że cztery dekady temu wyłączono i odcięto z podobnego powodu całe drugie piętro. Rzeczywiście, winda omija, ale wystarczy podejść tam starymi, zardzewiały-

Biltmore Hotel, Los Angeles. / fot. T. Lach

mi schodami technicznymi, żeby odkryć prawdę. Mistyfikacja! Piętro zamknięto i przebudowano kilka dekad temu, na nieodzowne w tych starych budynkach, centrum rozprowadzenia klimatyzacji. I tyle. Więc jak tu, będąc w takich miejscach, nie szukać śladów sprzed ponad pięćdziesięciu lat?

Nieduży parterowy domek na wysokim wzgórzu. Praktycznie nowy, wybudowany w 1958 roku. Więc tylko trochę porządków we wnętrzu, coś tam odmalować, kupić niewielkie biurko i fotel, postawić przy nich wypożyczony fortepian Baby Steinway S Grand Piano. Uruchomić i zapełnić lodówkę, rozpakować bagaże i jeszcze magnetofony, mikrofon, papiery nutowe i zatemperować ołówki. I już. Zrobione.

Aa... jeszcze ogródek. Trzeba podlać krzewy i wymienić wodę w basenie. Wymienić wodę w basenie na dwa machnięcia kraulem?! No raczej nie, Krzysztof Komeda nigdy, nawet przez jedną chwilę nie znajdował się w takiej sytuacji!

Porządki we wnętrzu, to pewnie Zosia już zrobiła. I meble kupione i lodówka pełna. A to, co najważniejsze, bo zawsze metodycznie układane i segregowane – praca – znajduje się wyłącznie w zasięgu ręki od klawiatury fortepianu. Ogródek tak, stolik i krzesło stojące przy pelargoniach na żoliborskim balkonie, natomiast basen? Najlepiej olimpijski, bo można się rozpędzić, chociaż najfajniej pływa się kilometrami wzdłuż morskiego wybrzeża.

A do tego górująca nad domkiem, wręcz zwieszająca się nad nim kilkunastometrowa kamienista skarpa. Kolejne wyrwane dzikiej naturze piętro Ptasich uliczek. Wysoko, coraz wyżej i stromiej, chociaż to właśnie tam zaczynają lokować swoje inwestycje budowlane najbogatsi.

Najniżej, u podstawy wzgórz ci rozsądni, bo teren jeszcze w miarę płaski i szersze ulice. Łatwiej będzie sprzedać. Najwyżej, na samych szczytach najbardziej dynamiczni, gdyż jak ten szczyt trzeba będzie wyrównać, to i tak nie ma sprawy.

Po lewej stronie skarpy za domem Krzysztofa częściowo schowany za krzewami widoczny jest w oddali biały narożnik wgryzionego w skałę fundamentu. To posadowiony nad wysokim urwiskiem przy najwyższej po tej stronie stoku ulicy: Blue

Jay Way – Szlaku Niebieskiej Sójki rozłożysty modernistyczny budynek ze wspaniałym, górującym nad wzgórzami tarasem. 1506 Blue Jay Way i taras, na którym w maju 1962 roku Marilyn Monroe pozowała do swojej ostatniej fotograficznej sesji. Ostatniej, ponieważ odeszła 30 czerwca tego samego roku.

A więc być może Komeda tylko sądził, że szuka, a o wyborze decydował, z góry zdecydował Marek Niziński, zwłaszcza że to on Krzysztofa wszędzie woził?

Ewa Krzyżanowska zarządzała domami gwiazd, a podstawowym zajęciem ostro popijającego, nigdy niespełnionego artysty Marka Nizińskiego była nieźle opłacana opieka nad pozostałymi nieruchomościami gospodarzy. Taki nowo wybudowany, przystępny cenowo dom w rokującym znakomity wzrost wartości miejscu, to przecież wyjątkowa okazja. Miesięczny czynsz z wynajmu to wtedy 350 dolarów, a teraz ponad dziewięć tysięcy, ale tak mieszkać samemu w oddalonym nie tylko od ulicznego gwaru, ale i od środowiska miejscu? Zamieszkać tydzień po premierze „Rosemary's Baby" gdy, jak wspominali ten czas przyjaciele: hollywoodzkie ulice rozbrzmiewały dochodzącymi z przejeżdżających samochodów dźwiękami Kołysanki, a Krzysztof zapraszany był praktycznie co wieczór do ówczesnych najmodniejszych knajp i klubów, a także domów najsławniejszych filmowych artystów? Więc dlaczego.

Na pewno nie po to, aby spędzać tam czas ze swoją filmową kochanką, izraelską aspirującą aktorką Elaną Cooper. Temu celowi służyły hotelowe apartamenty, bo jak to by wyglądało w jakiejś brukowej prasie? Zdradza żonę podczas jej nieobecności... w Stanach Zjednoczonych A.D. 1968? Stanowczo zbytnie ryzyko.

Więc kto poza Krzysztofem Komedą bywał w domku przy Ptasiej uliczce?

Jak to kto, przecież się tym chwalili. Jego nowo poznani natychmiastowo najbliżsi przyjaciele. Artysta Marek Niziński i pisarz Marek Hłasko.

Zapasów, szczególnie alkoholi, w lodówce raczej nie uzupełniali, to było w gestii Krzysztofa, ale wymiana wody w już wtedy podgrzewanym basenie, gdzie Marek Hłasko potrafił cały dzień przesiedzieć z kolejnymi papierosami i butelkami piwa w dłoniach?

Sąsiadująca z domem Komedy skarpa na Oriole Lane. / fot. T. Lach

Owszem, w ciągu następnych trzech miesięcy odwiedzali Komedę również inni znajomi, lecz chyba sporadycznie i tylko na kilka chwil, ponieważ nikt o tych wizytach nie opowiadał. A więc wyłącznie ze wspomnień Hłaski i Nizińskiego dowiedzieliśmy się, jak tam było... i co się wydarzyło. Z jednym wyjątkiem.

To wszystko, to wspominanie i opisywanie już dawno się odbyło. Pięć filmowych dokumentów, kilka solidnych książek i setki przeróżnych publikacji. Począwszy od tych najwcześniejszych, jeszcze niepotwierdzonych domysłów na podstawie gdzieś tam i przez kogoś powtarzanych plotek. Może na nartach, na Mammoth Mountain? Owszem, jeździł na nartach na kalifornijskiej Mamuciej Górze dwa razy. Pierwszy raz w styczniu, miesiąc po przylocie do LA. Przecież przywiózł ze sobą swoje narciarskie buty, a drugi raz w drugiej połowie listopada, gdy w Parku Yosemite rozpoczął się sezon narciarski, ale w listopadzie był już w widocznym stopniu chory. Był jeszcze w Aspen. W pierwszych dniach marca. Krótko, ponieważ było drogo, ale przywiózł kupione tam stalowe narty w wielkiej czarnej torbie z jeszcze większym napisem: I Love Aspen!

Zranił się w głowę – skacząc do basenu. To raczej bez komentarza, ale plotka rozpowiadana przez nie cierpiących Hłaski, zapożyczonych po uszy u Komedy znajomych... To Marek w napadzie szału go pobił! Podłe, przez wiele lat ciążące na Hłasce oskarżenie. Pozostały wersje: A i B.

A więc początek wizji lokalnej, czyli dochodzenie. Zazwyczaj w takich przypadkach jest tak, jak twierdzą wszyscy śledczy oraz prokuratorzy – tutaj chyba z lekka przeginam – że najważniejszych jest pierwszych 48 godzin. Dwie doby oraz jak najszybciej zebrane, czy też przekazane informacje od tych, którzy „tam" byli lub w „tym" uczestniczyli.

A cała reszta, to samo generująca się legenda. Ze szczerego serca i na 100% prawdziwe konfabulacje. Zaczynamy…

Zacznijmy od wersji B, ponieważ jest znacznie ciekawsza. A do tego ze znakomitą obsadą oraz technicznym rysunkiem.

Scenariusz murowany!

12 października 1968 roku. Sobota. Narodowe święto: Columbus Day. Tego dnia w 1492 roku Krzysztof Kolumb, postawił swoją stopę na „nowej ziemi", sądząc, że cumuje w Japonii, tyle że to były Bahamy. No i jeszcze wystartowała misja Apollo 7 oraz rozpoczęła się Olimpiada w Meksyku.

A więc okazja. Komeda wydał w swoim ogródku niewielkie garden party.

Przybyli wszyscy, którzy mogli się tam pojawić z wyjątkiem tych najstarszych – Pana Henryka Warsa z małżonką – oraz Romana Polańskiego co jednak nie znaczyło, że osoba Pana Romana nie zaznaczy w tym fatalnie zakończonym evencie swojej istotnej dla toku wydarzeń obecności. Popijali i rozmawiali i było fajnie, ale kiedy dotarł tam narrator... zaczęła się ostra jazda – co rzetelnie i szczegółowo opisał, załączając tym bardziej szczegółowy szkic sytuacyjny wydarzenia. Ktoś komuś coś, bo tutaj trochę trudniej się połapać, ale generalnie najpierw Hłaskę nieźle wkurzyli, a potem zaczęli dywagować czy Pan Roman Polański potrafi czytać po polsku. No i zaraz po tych dywagacjach a może i w trakcie Hłasko wykonał ręką jakiś zapewne w założeniu sympatyczny gest w stronę Komedy i Krzysztof „zniknął" spadając z ogródka na skarpie na asfalt uliczki. Dwa metry wysokości z 45-stopniowym kątem nachylenia. Glina i trawa. Potem go Hłasko targał po strażacku po tej skarpie na górę, ale nie dał rady i ponownie się zwalił, tym razem padając na Komedę. I to wtedy Krzysztof stracił na chwilę przytomność, ale zaraz odzyskał, Hłasce wszystko wybaczył... Nowotestamentowa historia, bo On dźwigał, padał i dźwigał, a Oni tylko stali i patrzyli.

I tak to mogło faktycznie się wydarzyć, ale są pytania.

Dlaczego Marek Hłasko szczekał, bo w tej wersji szczekał: hau, hau! – zjeżdżając na tyłku po skarpie do siedzącego na asfalcie ulicy Komedy. Robert z „Drugiego zabicia psa", czy też w sprawie karawany?

Dlaczego ot tak z ulicy przez skarpę do basenu i odwrotnie? Nie było ogrodzenia?

Dlaczego akurat ta sobota, kiedy i z kosmosu i z Mexico City telewizyjne transmisje, a u wszystkich i wszędzie z wyjątkiem domku Krzysztofa czekają telewizory. Niziński był kompletnie

Krzysztof Komeda, Wrzesień 1968 r., Hollywood. / fot. Marek Niziński

telewizyjnie uzależniony i miał w swoim apartamencie przy 220 North Clark Drive najnowszy kolorowy TvRCA Victor. Dlaczego za dnia, prawie w samo południe nikt nie wezwał karetki pomimo tego, że Komeda stracił przytomność. Oraz podążająca za tym pytaniem trauma. Ta trauma, z którą Hłasko nie potrafił się pogodzić... Kiedy pochylił się nad leżącym bez ruchu na plecach Krzysztofem, aby sprawdzić, czy ten jednak nie udaje, wsunął mu pod głowę dłoń. Ciepłe i lepkie, krew!

– Jak On odejdzie, to i ja odejdę!

– ...więc wtedy może go zabiłem?

Gdzie ta krew i niewielkie rany po prawej stronie potylicy, które zostały opisane w wypisie ze szpitala?

Dlaczego żadna z tam obecnych osób nigdy i nikomu o tym komicznym przecież wydarzeniu nie opowiedziała, a najbardziej zainteresowana kondycją Krzysztofa Komedy, Elana Cooper napisała po kilku miesiącach w jednym z listów: „Wygląda na to, że on jakiś czas temu upadł i zrobił sobie krzywdę...”

Dlaczego ten kompletnie zmieniający hollywoodzką historię Komedy oraz Hłaski news pojawił się dopiero po pięciu dekadach, kiedy wszyscy tam obecni, wszyscy, którzy mogliby coś do wersji B dodać, już dawno odeszli... Z taką szczegółową

dokładnością? Marek Hłasko, zaledwie po dobie, opowiadając swoje, prawie niczego nie pamiętał.

Narrator dowiedział się o rozpowszechnianej przez Komedową wersji A po wielu latach z prasy i nie był zainteresowany. Czyli po 12 października 1968 już go tam nie było? Był, bo przecież inni wtedy tam obecni również byli. Był w późniejszych stałych kontaktach z Nizińskim, Zofią Komedową oraz Markiem Hłasko, kiedy nieprzytomny Krzysztof leżał przez trzy miesiące w szpitalu.

Wjazd na Oriole Lane. / tot. T. Lach

Jednak nadal to wszystko mogło się wydarzyć... Być może tam, ale nie tak i nie wtedy. Być może kilka tygodni po wydarzeniu z wersji: A, bo przecież Krzysztof jeszcze nie wiedział, że jest chory. Czyli możliwe jest, że wersję: A opowiedzianą przez Hłaskę Nizińskiemu i Ewie Krzyżanowskiej oraz przez Komedę Romanowi Polańskiemu, tych kilka uwiarygodniających się nawzajem przekazów, uda się wreszcie udowodnić.

Wersja A.

Piąty października 1968 roku. Sobota. We Francji święto. Piątego października 1789 roku, o poranku, zbuntowane drożyzną na placach targowych paryżanki maszerują na pałac w Wersalu i zmuszają Ludwika XVI do powrotu do Paryża. To koniec monarchii i początek Francuskiej Rewolucji, a do tego dzisiaj o siódmej wieczorem wystąpią w Hollywood Palace The Lennon Sisters. „That moonglow gave me you!”

Krzysztof Komeda w studio nagraniowym. / fot. Marek Niziński

No właśnie. Ziemia w wadze, ale księżyc od wczoraj w kompletnej pełni, i jeszcze w Baranie. 392.321.98 km. od Oriole Lane, ale kto wie? To znak ognisty, rządzi emocjami i otwiera czakry serca, a przecież Elana jest zafascynowana astrologią i co chwilę... Masakra!

Krzysztof Komeda jest zmęczony. Od kilku tygodni, przesiaduje całymi dniami w studio montarzowym, montując skomponowaną i nagraną już muzykę do fragmentów kolejnego filmu. „The Riot” w reżyserii Buzza Kulika. Raz kilka sekund, a raz nawet cała minuta w wyczerpującym skupieniu. I w ciągłym stresie, ponieważ efekt zapowiada się fatalnie. Gene Hackman,

Paramount Pictures
STAGE
4

Historyczna brama do Paramount Pictures, Hollywood. / fot. T. Lach

grający jedną z głównych ról wspaniale zapowiadający się młody aktor zastanawia się, czy nie wycofać z czołówki swojego nazwiska, a zmontowane już opowiadanie o tragicznym buncie w więzieniu stanowczo gubi swój sens oraz dynamikę. Tylko ballada... Filmowy leitmotiv, który jest przecież równie ważny, a często nawet ważniejszy od grającego główną rolę aktora, bo ten kiedyś zestarzeje się, wyczerpując swój resurs popularności i stanie się wiwatującym samemu sobie artystycznym dziadkiem. Natomiast melodia, o ile ponadczasowa, pozostanie już na zawsze, niosąc pamięć o filmie w następne dekady. Tutaj były również dyskusje, ale Komeda zdecydował, że firmującą „The Riot" westernową balladę: „100 Years" zaśpiewa Bill Medley, młody kalifornijski bas-baryton.

Stresy, pośpiech i obawy. Czy na pewno uda się i czy Paramount podejmie po pozytywnej kolaudacji decyzję o rozpowszechnieniu? Materiał filmowy już zmontowany i nic nie da się zmienić czy też dokręcić, ponieważ większość zdjęć filmowych była realizowana w prawdziwym więzieniu. Yuma Territorial Prison. A więc jeżeli dział dystrybucji stwierdzi, że to będzie ewidentna strata, film zostanie: „pułkownikiem" i może wylądować na jakiejś półce w magazynie niewypałów z doczepionym „wilczym biletem". Podobnie jak w kraju „Ręce do góry" Jerzego Skolimowskiego, tyle że w Hollywood z innego powodu. Biznesowego.

„Najważniejszą i zarazem najtrudniejszą z istniejących sztuk jest sztuka opowiadania". – Cecil DeMille. I to tym razem raczej się nie udało.

Natomiast ballada... Szef działu muzycznego CBS, korporacyjnej części Paramount twierdzi, że to absolutny „więzienny" hit, ponieważ napisana na gitarę, ze smutnym, nostalgicznym tekstem i już ją gdzieś zagrali, podobno w jakimś więzieniu i jest bardzo, a nawet bardziej niż: Ok! Więc pewnie zapuszkują „100 lat" do katalogu US więziennych evergreenów i ballada przejdzie do historii penitencjarnej sztuki.

Tak, Paramount niczego nie wybacza oraz nie daje drugiej szansy, lecz również wchodzi dosłownie a vista w rokujące dodatni wynik projekty. Dlatego też zaledwie dwa lata po rozpoczęciu działalności, 8 maja 1914 roku nowopowstały korporacyjny zarząd uruchomił i wprowadził w życie projekt W.W. Hodkinsona, właściciela pierwszego oraz wielu następnych nowojorskich Nickelodeonów. Sieci tanich filmowych teatrów, zastępujących te burleskowe, gdzie za pięć centów można było siedzieć do oporu, do następnego wyświetlanego co trzy dni filmu, jednocześnie równie tanio jedząc i pijąc w teatralnym foyer. Idea, produkcja, własność, dystrybucja i sieć kinowa razem. W rękach jednego korporacyjnego właściciela. A do tego słuchając, nie kończących się produkcji : „Taperów". „Stukaczy" – jak ich nazywano. Często europejskich emigrantów, znakomitych klasycznych pianistów nieodzownych w kinoteatrach okresu kina niemego. Tyle tylko, że to stukanie, to najczęściej tradycyjny uliczny jazz... No cóż, Ameryka! Na początek trzeba zarobić na życie i każda możliwość pracy jest darem.

Paramount Pictures okresu międzywojennego XX wieku – to był pierwszy tak skonstruowany i w tej branży stricte biznesowy, korporacyjny układ zawarty pomiędzy czterema ówczesnymi hollywoodzkimi graczami. W.W.Hodkinson, Cecil DeMille, Jesse L. Lasky i Adolph Zukor. Kompletnie zakręceni ryzykanci i po dekadzie filmowi giganci... A przecież zaczynali od kompletnego zera!

To system, dzięki któremu Paramount nadal pozostaje dominującym filmowym graczem. Począwszy od 1912, do 2024 roku ponad 1200 wyprodukowanych filmowych hitów oraz współprodukcja, pełna kontrola prawna i dystrybucja 2900 pozostałych. Plus popularne i bardzo opłacalne seriale realizowane od dekad w wyłączonych z dostępu siedmiu nie mniej niż 1000-metrowych scenicznych studiach. Trzy hektary i 31 hal zdjęciowych. W pępku Hollywoodu. Vis a vis widocznego z dosłownie każdej lokalizacji, górującego na odległych o 4 kilometry wzgórzach: HOLLYWOOD. Z możliwością szybkiego dotarcia samochodem z dowolnego miejsca tej niekwestionowanej od ponad 100 lat stolicy światowego przemysłu kinematograficznego. I nic więcej...

Sunset Bl
HOLLYWOOD
30

HOLLYWOOD
STAGE 30
STAGE 31

Paramount Pictures, zaplecze Studio 5, w którym realizowano „Rosemary's Baby". / fot. T. Lach

Co więcej potrzeba do spełnienia marzeń? Wiadomo – zatrudnienia, a o to zabiegają, wręcz walczą przybywający tysiącami z całego świata młodzi artyści. Aktorzy, reżyserzy, operatorzy, scenarzyści, plastycy i technicy planu... kompozytorzy.

No proszę. W tym czasie w warszawskiej WFD były tylko dwie niewielkie hale filmowe.

Stres i wyzwanie. Co dalej, bo to jest ten czas, kiedy trzeba kolejnym sukcesem potwierdzić swoją wartość, gdyż tutaj liczy się wyłącznie: WYNIK!

Realizowany w Nowym Jorku, na zewnątrz słynnego, podobno obłożonego klątwą budynku „Dakota" oraz na terenie Paramount'u we wtedy kultowym, ponieważ gwarantującym sukces – na co są pisemne księgowe oraz finansowe dowody - „Stage 5", film Romana Polańskiego: „Rosemary's Baby" był jednym z trzech z 34 wyprodukowanych w tym roku filmów, których zadaniem – na co liczyli inwestorzy – było wydobycie Paramountu z poważnych problemów finansowych. Dwa pozostałe, to...

„Romeo i Juliet" w reżyserii Franco Zefirellego z muzyką Nino Roty oraz jeden z pierwszych spagetti westernów:

„Once Upon A Time in The West" – „Dawno temu na Zachodzie" w reżyserii Sergio Leone z muzyką Ennio Morricone.

I to był największy z komedowych stresów!

Czy sprosta rywalizacji na najwyższym światowym poziomie?

W pierwszych dniach czerwca 1968 roku zawarł z Paramountem – dzięki sprawności swojego doradcy prawnego i upierdliwości Zośki K. - znakomitą umowę. Trzy lata pracy dla korporacji Paramount. Trzy do sześciu filmów rocznie i jednocześnie może pracować w Europie. Jedna z dwóch tego typu umów z wytwórnią, gdyż są to z jej strony solidne zobowiązania. Diety, postojowe, ubezpieczenia oraz koszty pozostałe. Sęk w tym, że w podobnym terminie taką samą umowę zawarł drugi z beneficjentów. Ennio Morricone.

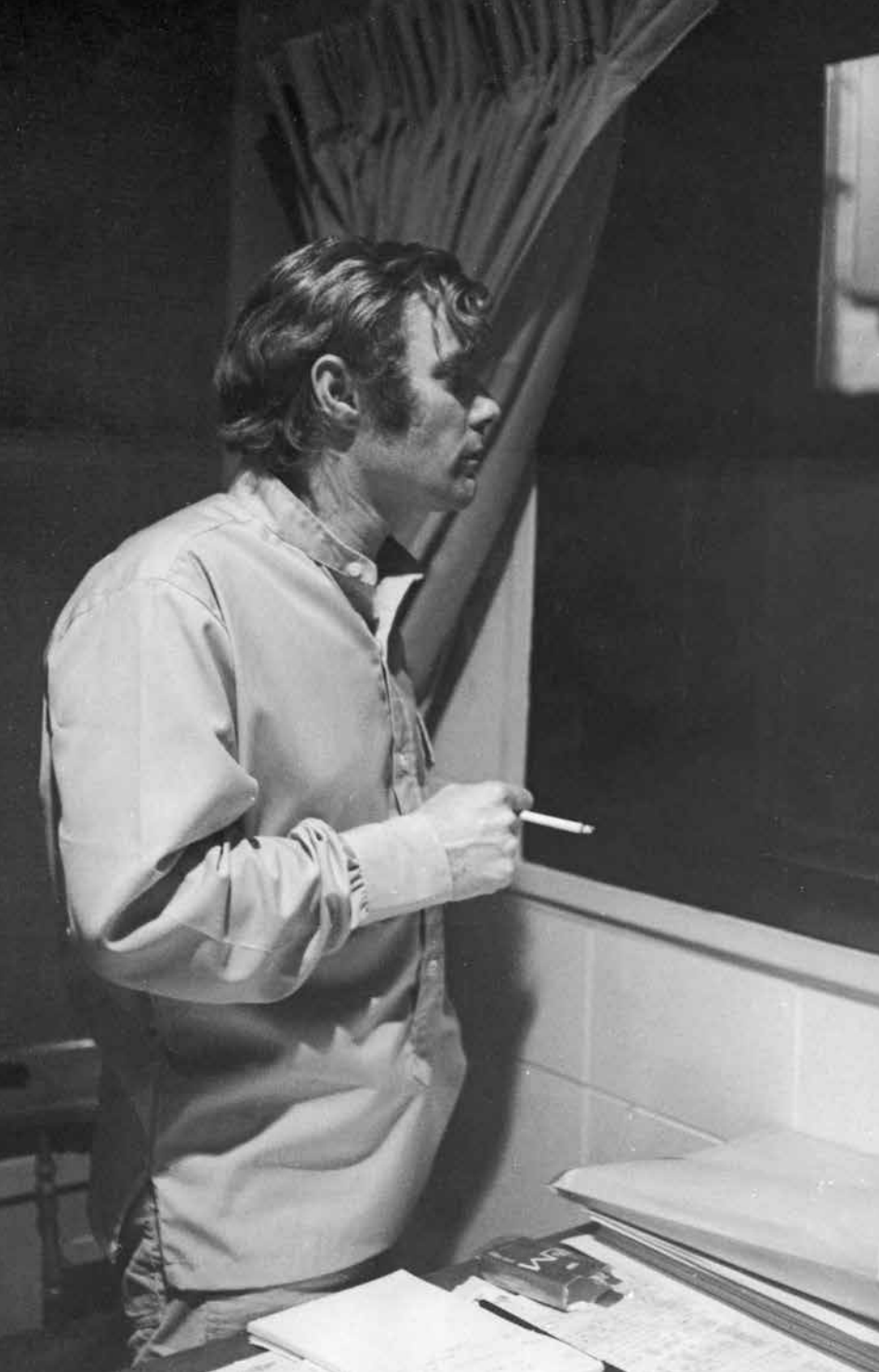

Komeda w studio nagraniowym Paramount Pictures, Wrzesień 1968 r. / fot. Marek Niziński

A więc teraz Krzysztof siedzi od wczesnych poranków do późnych wieczorów za konsoletami w studio montażowym – Assembly Stage – w nieistniejącym już budynku przy północno-wschodniej granicy wytwórni spoglądając w chwilach wytchnienia – papieros, kawa, papieros, herbata – na pejzaż za studyjnym oknem. Na przylegający do wytwórni hollywoodzki artystyczny cmentarz.

Hollywood Forever Cemetery Garden of Legends i widoczną w oddali pomiędzy nagrobkami niewielką katakumbową ścianę. To tam, w skromnej krypcie No. 1205 spoczywają prochy artysty, aktora i tancerza – „Latynoskiego Kochanka" - bez którego udziału w ówczesnym filmowym biznesie być może nie byłoby dzisiejszego Hollywood. Prochy Rudolpha Valentino. „Wiecznie żywy" – bo podobno choroba i zgon na sepsę były sfingowane – nadal prowokuje dyskusje o tym, co się dzieje z jego miejscem pochówku oraz jednym z elementów spadku...

Ring of Destiny – Pierścień Przeznaczenia – czekał na Rudolpha na okiennej wystawie obskurnego lombardu w San Francisco.

Wczesną jesienią 1925 roku, kiedy artysta spędzał tam kilka wolnych od pracy dni. Srebrny ze złotą inkrustacją, potężny sygnet z równie dużym Tygrysim Okiem, wyjątkowej urody kamieniem rezonującym przedziwnymi, zachwycającymi odcieniami czerwieni w promieniach lampki, przy której go oglądał.

Właściciel lombardu odmówił sprzedaży, twierdząc, że to pierścień przeklęty, że nie można ocenić jak stary, być może nawet tysiącletni i że posłał do grobów wielu poprzednich właścicieli... ale do czego służą pieniądze?

Nowy właściciel Pierścienia Przeznaczenia był nim zachwycony, wręcz zakochany nie zdejmując go ze serdecznego palca nawet w kąpieli. Zmarł na pooperacyjną sepsę 23 września 1926 roku. Po niecałych 12 miesiącach On, zarabiająca fortunę najznakomitsza filmowa gwiazda, do tego stopnia zbankrutowany, że do dzisiaj spoczywa w użyczonej mu przez przyjaciółkę krypcie.

Pierścień odziedziczyła żegnająca go na cmentarzu tysiącem ułożonych w jej imię białych róż – a przecież mogła zafundować pochówek – jego ostatnia kochanka. Pola Negri.

Santa Monica, Lady in Black. / fot. T. Lach

W krótkim czasie poważnie zachorowała, co miało fatalny wpływ na późniejszą karierę. Pierścień przekazała nadal opłakującemu odejście Rudolpha serdecznemu przyjacielowi, Russowi Colombo. Zginął, bawiąc się nieładowanym od pół wieku antycznym pistoletem itd... Itp. W sumie w ciągu paru lat 6 ofiar. Pierścień podobno został ukryty w bankowym sejfie, ale niektórzy wtajemniczeni twierdzą, że nadal jest w obiegu i sieje spustoszenie.

Aa... no i oczywiście Rudolph Valentino wędruje. Raczej nie straszy, ale zwłaszcza nocami, spacerując po cmentarnych uliczkach, być może spotyka się ukradkiem z nadal zakochaną w nim: „Damą w Czerni". Lady in Black.

Corocznie, od 97 lat w rocznicę odejścia Rudolpha Valentino pojawia się ponad kryptą wpleciona pomiędzy wiązanki kwiatów samotna czerwona róża. Do 1983 roku składała ją podobno Księżna Orvelia Wilson. Kiedy w wieku 14 lat umierała w szpitalu, zaprzyjaźniony z jej rodzicami Valentino, odwiedził ją, przynosząc w prezencie jedną czerwoną różę oraz twierdząc, że teraz będzie już zdrowa i dożyje 100 lat. Zmarła, mając ponad 90. Faktycznie przychodziła na cmentarz ubrana w czernie z zawoalowaną czarną woalką twarzą. Była często fotografowana i wielokrotnie udzielała pełnych niepohamowanych boleści oraz tragicznych łkań wywiadów. Problem, czy też zagadka polega na tym, że natychmiast po opublikowaniu informacji o jej śmierci zgłosiły się do różnych redakcji co najmniej dwa tuziny przeróżnych księżnych, księżniczek, aktorek i kochanek oraz ich ślubnych, a zwłaszcza nieślubnych dzieci twierdzących, że również one... To pewne, że One! I to jest Ok, bo demokracja i każdy może, a krypta jest wręcz obłożona różami. Jakim sposobem co roku, od 97 lat jedna z róż, ta najbardziej samotna i najczerwieńsza pojawia się nawet wtedy, gdy cała okolica krypty obstawiona jest ciekawskimi aparatami fotograficznymi oraz kamerami i na 100% wiadomo, że tam nikogo nie było?

To miało być spokojne, relaksujące spotkanie z przyjaciółmi. Pierwsze w tak dużym gronie w domu Krzysztofa i pierwsze z niechętnie tam bywającą Elaną.

Nikt nie przyjechał, oczywiście z wyjątkiem szczerze niecierpiących Elany Marków Hłaski i Nizińskiego, gdyż oni, jak zwykle w weekendy byli tam już od rana.

Z daleka jechać nie musieli...

Marek Niziński ze swojego niewielkiego apartamentu przy 220 North Clark Drive na Beverly Hills, a Marek Hłasko z dwupokojowego skromnego mieszkania przy 1229 Poinsettia Place. Hollywood.

Niecałe 16 kilometrów, tyle dzieliło dwa najdalsze miejsca zamieszkania. Dom Krzysztofa i mieszkanie Marka Hłaski. A Marek „Nizich" - taki zwrot preferował – w połowie drogi tak wiodącej, że Krzysztof Komeda, jadąc z Oriole Lane do wytwórni, mógł zatrzymywać się po drodze u każdego z kumpli na kawę, kończąc swą podróż do Paramount'u pięć kilometrów za adresem Hłaski.

Komeda, Niziński, Hłasko. Trzej a vista natychmiastowi hollywoodzcy kumple i ten zapewne przypadkowy, a raczej wypadkowy uruchomiony ich działaniami mechanizm. Mechanizm samozagłady. Wszystko, z wyjątkiem trzech tygodniowych wypraw Komedy na narty oraz paru sobót i niedziel w Santa Monica... Cała ta fascynująca swoim bezsensem historia trwająca od czerwca do grudnia 1968 roku wydarzyła się i rozegrała na 21 kilometrach.

Domek Krzysztofa Komedy, apartament Nizicha i mieszkanie Hłaski. Takie same.

Co u Komedy, to już wiemy. Wszystko z wyjątkiem zawartości walizki, stalowych nart i fortepianu obce. Marek Niziński odwrotnie. Wszystko jego. Telewizor, pełna alkoholi lodówka i tym bardziej pełna popielniczka, jego grafiki na ścianach, jego fotografie w albumach, jego mosiężne artystyczne cuda, które wyklepywał i odlewał w młodości, marząc o tym, że kiedyś – ależ to pewne! - będzie kolejnym Rodinem. Jego podkręcony do granicy możliwości MG Midget, jego fotograficzny sprzęt, jego damami fascynacje oraz zauroczenia... Jego pustka.

Marek Hłasko pewnikiem kombinował inaczej. Że to tylko jakiś niechciany, ale nadal upierdliwie siedzący mu na karku koszmarny sen, więc co tam, przecież w końcu to, co od ponad roku pisze – napisze! Wystarczy się skupić i wytrwać w tym malutkim mieszkanku zaklejając – bo dni bolą – okna gazetami i tylko nadal, nadal pisać podkręcając tę wredną, kurewską inwencję kolejnymi drinkami. No... i to konieczne, żeby już nie wyrzucić przez okno kolejnej maszyny do pisania, ponieważ została tylko ta, którą pożyczyła Zośka Komedowa. Na stole przytargany z Reichu krzyżyk, fajny, bo rozkładany i biblia – ta jeszcze

Jedna z ostatnich fotografii Komedy, Wrzesień 1968 r. / fot. Marek Niziński

od Mamy, a obok nadal gromadzony – bo kiedy, gdy czas tak nagli? – stosik już zaklejonych i zaadresowanych listów. Do Mamy.

A więc gdzie i do kogo w poszukiwaniu pociechy, kiedy mija kolejny tydzień samotności? Do Krzysia, ponieważ będąc takim samym, tak myśląc i do tego w tym samym języku jest tak nam podobnym, tak samotnym, jak my sami, lecz i innym... Krzysiowi się o dziwo udało. Wynik, czyli sukces i kasa!

A teraz, spoglądając z komedowego patio, rozleniwionymi oparami czyjegoś sukcesu spojrzeniami w dół, na Hollywood, Los

Oriole Lane, droga powrotna. / fot. T. Lach

Angeles i resztę świata, popalając nie do końca swoje papierosy i popijajając nie do końca swoje drinki... No jak tu Krzysiowi we wszystkim nie pomagać? Nie doradzać? Zośki już nie ma, a szkoda, bo Zosia artystów, zwłaszcza tych boleśnie niedocenianych, znakomicie rozumiała. Natomiast ta Elana?!

Karczemna awantura z wyzwiskami to tak jakby na temat tego sympatycznego spotkania nic nie powiedzieć. Reasumując, po paru godzinach nieprowadzących do niczego dyskusji Marek Niziński wsadził Elanę w samochód i pojechał z nią do miasta, a pozostali dwaj panowie?

Trochę popijali i trochę rozmawiali. Siedzieli na patio przy basenie i przy fortepianie. Krzysztof trochę freejazzował, a trochę akompaniował wywrzaskiwanym przez Hłaskę rosyjskim dumkom. Co pili? Wódkę i tequilę oraz palili jednego za drugim Marlboro. W końcu znudzeni tą artystyczną bezproduktywnością postanowili wyruszyć na spacer. Krótki, żeby tylko zobaczyć, co tam u sąsiadów? Daleko nie zaszli, niecałe 200 metrów.

Molo w Santa Monica, Los Angeles. / fot. T. Lach

Po pierwsze tylko w lewo, bo w prawo po chwili ślepy koniec ulicy. Po drugie raczej wolno i ostrożnie, bo Oriole Lane to bardzo stroma uliczka. U wjazdu z Oriole Drive na Oriole Lane – 35 stopni. A więc i z powrotem, w dół...

To więcej niż najbardziej stroma w LA oraz trzecia taka w Stanach ulica: Eldred Street ze swoim 33,3-stopniowym nachyleniem. Dlaczego więc Oriole nieujęta w zestawieniu? Bo nie: „Street", więc poza obliczeniami.

Jeden, trzy, dwanaście... Stromo! Ciężko się wędruje, a do tego praktycznie w ciemno. Nic nie widać pomimo 99,7 procent emitowanego przez księżyc światła. Upierdliwy, pojawiający się ot tak, jak z magicznego kapelusza hollywoodzki smog. Tutaj to znacznie bardziej złożone niż jakieś tam normalne smogi. Nadpływa i formuje się u podnóża zachodnich wzgórz, tym razem najgęstszy od ponad trzech dekad. Będzie tutaj pojutrze, ale już jest, wisi ponad głowami, wpełzając po stokowych ulicach coraz wyżej i wyżej...

Już jest! Stojąc przed podjazdem do domu Krzysztofa, spoglądając w górę oraz w prawy bok na wznoszącą się za budynkiem coraz wyżej i dalej skarpę można by dojrzeć, gdyby nie nowa wysoka zabudowa, biały narożnik wychylającego się ponad nią, wystawionego w meksykańsko-rustykalno-hollywoodzkim stylu domu. Z lekkimi, subtelnymi wtrętami anglikańskiego renesansu co zapewne sprawiło, że we wrześniu 1967 roku wynajął go George Harrison. Ten od Żółtej Łodzi Podwodnej. Wczesnym wieczorem, chwilę po zamieszkaniu oczekiwał na przybycie swojego producenta. Czekał, czekał, czekał i w końcu z tych nudów oczekiwania siadł do Hammonda właściciela nieruchomości i skomponował oraz napisał: „Blue Jay Way". Magical Mystery Tour. Tak, w budynku przy 1567 Blue Jay Way na najwyższej z ptasich uliczek. Dlaczego czekał bez skutku? Ponieważ mgła, hollywoodzki smog był aż tak gęsty i ciężki, że gość pobłądził i nie był w stanie dojechać.

„I oto mgła nad L.A.
Przyjaciele zagubili swą drogę.
Mówią, że to szybko przeminie.
Teraz utracili ją sami..."

Piętnaście, siedemnaście, dwadzieścia jeden... Gęstniejący mrok.

To mogą być napływające znad Pacyfiku nad wzgórza niskie nocne Stratusy albo Cumulusy. Powodowane różnicami temperatur skupiska wilgotnej atmosfery.

Mogą też być to smogowe dymy dopalających się połaci Kalifornijskich Lasów. Resztki wielkiego pożaru z 23 sierpnia tego roku oraz kolejnego morderczego uderzenia Diabelskiego wiatru Santa Ana. W tym sezonie już dwudziestego pierwszego. Powstający na skutek drastycznej różnicy ciśnień nad pustynią Mojave, gorący, suchy i porywisty rozpędza się nad pagórkowatymi obszarami leśnymi, wzbudzając tam potężne pożary i spada, uderza jak powietrzny grom z szybkością ponad 100 km/h w Los Angeles oraz wybrzeże Santa Monica.

To pożar, o którym opowiadał Marek Hłasko. O ośmiu strażakach, którzy zginęli w płomieniach oraz o tym, że brał udział w walce jako załogant Cataliny, strażackiej latającej cysterny.

Dwadzieścia sześć, trzydzieści cztery, czterdzieści dwa...

No i jeszcze papierosy.

Marek zapala już drugiego, przystaje i rozgląda się ciekawie wokoło w chybotliwym świetle zapalniczki. Stoi na nogach, a przemieszczał się tędy wyłącznie samochodem. A także jutrzejsza tradycyjna niedzielna Santa Monica... Pewnie teraz o tym rozmawiają, aby stłumić w sobie niedawne krzykliwe stresy. Pojadą Bulwarem Santa Monica aż do samego wejścia na zatłoczone, pełne kuglarskiego harmidru molo. A potem plaża. Komeda pływa, Niziński znowu coś tam czyta a Hłasko – jak zwykle, to wiadomo. Pilnuje przenośnej lodówki z piwem...

Czterdzieści osiem, sześćdziesiąt trzy, osiemdziesiąt siedem. W świetle zapalniczki?

Przecież są lampy uliczne! Jest jedna, w połowie ulicy i właśnie się do niej zbliżają. To umieszczona wysoko na metalowym pałąku, montowana wtedy w Hollywood: 1960s General Electric Mercury. Na szerokich ulicach 250 W. Na wąskich sto siedemdziesiątka piątka. Słabo. Następna jest na samym końcu ulicy. Na dole i oświetla wyłącznie teren za skrzyżowaniem.

Dziewięćdziesiąt sześć, sto dwanaście, sto czterdzieści cztery...

Wolno i bez pośpiechu. Ostrożnie. Idą nierównym, drobnym krokiem, stawiając ostrożnie stopy. Asfalt, ale jedynie teoretycz-

nie. Powycierany i przemieszany z podłożem. Mieszkańcy Bird Streets nie mają podpisanej z gminą umowy na utrzymanie drogi, wiec jest taka, jaką sami ufundowali, a przecież nadal trwają jakieś prace budowlane.

Sto osiemdziesiąt siedem, dwieście jedenaście, dwieście dwadzieścia cztery...

Stromo! To jest najbardziej pochyły odcinek, więc nie dość, że na lekko ugiętych nogach, to jeszcze te mylące swoimi ruchomymi kształtami, poprzedzające stopy cienie własnych postaci,

Miejsce upadku. Te zabudowania wtedy nie istniały. / fot. T. Lach

ponieważ lampa uliczna za plecami... A do tego może rozmowa już nie taka?

„Zamknięty w sobie i na swoim skupiony małomówny introwertyk, ale jak już musi, albo po kilku kieliszkach to jak coś powie?!" – często powtarzana przez Zofię Komedową opinia o Krzysztofie. Potrafił nieźle dociąć czy też w znacznym skrócie, ale zadziwiająco ostro odpowiedzieć. Tym bardziej Marek Hłasko i to bez kieliszków czy też skrótów, natomiast równie ostro i zaciekle gestykulując.

Miejsce upadku ze skarpy. / fot. T. Lach

Bezradność zagubionego w meandrach dorosłości dziecka sprytnie ukryta za agresją, konfabulacją i negacją. Całe jego życie, więc może już nie ta...

Dwieście dwadzieścia siedem, dwieście trzydzieści trzy, dwieście trzydzieści cztery.

Idą tak, jak by jechali samochodem, prawą stroną. Marek stąpa ciężko i pewnie, od środka ulicy, bo to on przecież zawsze prowadzi a Krzysztof obok, od strony krawędzi drepcze znacznie drobniejszym krokiem. Marek powyżej 180 cm wzrostu i ta niesiona 120-kilogramowa biomasa, a Krzysztof 167/70.

Marek Hłasko i Krzysztof Komeda. Wrzesień, 1968 r. / fot. Marek Niziński

„A jak na lekkiej bani, ale i często na co dzień, to idzie takim lekko podskakującym trochę tanecznym krokiem". – Z. Komedowa

Chodzi tak i nie potrafi inaczej od ósmego roku życia. Latem 1939 roku, w trakcie wakacji nad Bałtykiem przeszedł krótki, ale gwałtowny atak Polio, choroby Heinego Mediny. Pozostała krótsza o dwa centymetry prawa noga z porażoną łydką. Więc tylko tak chodzić potrafi, gdyż w każdym prawym bucie tkwi uzupełniająca niedowład pięty dwu centymetrowa wkładka. Dwieście czterdzieści dwa, dwieście czterdzieści dziewięć, trzysta jedenaście.

Wędrują dalej bez pośpiechu wolnym spacerowym krokiem, nadal prosto przed siebie... ale to nieprawda, to już nie jest prosto! Z jadących samochodów nie widać kiedy w dół ulicy, kiedy w stronę miasta! Wraz z dwieście dwudziestym siódmym krokiem minęli miejsce, gdzie Oriole Lane skręca lekkim łukiem w lewo. Lekkim i tylko na odcinku kilkunastu metrów, ale to wystarcza gdy ktoś nadal idzie prosto. Panowie artyści zmierzają w stronę otchłani.

Trzysta dwadzieścia sześć, trzysta dwadzieścia siedem. Trzysta dwadzieścia osiem i prawa stopa Komedy trafia w pustą

Mammoth Mountain, California. Komeda na nartach, Listopad, 1968 r. / fot. Marek Niziński

przestrzeń! Krzysztof spada w czarną czeluść nie wiedząc przecież, bo nie widząc, dlaczego i gdzie leci. Być może mógłby powstrzymać upadek zapierając się prawą piętą, ale jej tam zabrakło, gdyż przy takich porażeniach cały nacisk i atak, to zazwyczaj przednia część stopy. Znakomity pływak i narciarz, więc pewnie próbował ratować się rolując przez prawy bark i chroniąc głowę, ale te wszystkie wystające z gliniastego, twardego jak beton zbocza kamienie, słup elektryczny i uliczny krawężnik u podstawy. Runął ze zbocza pomiędzy dwoma

ostatnimi po prawej stronie budynkami. W 1968 roku były to niewielkie, oddalone od siebie domki, a pomiędzy nimi nic, tylko przesłaniające tu i tam skraj drogi niewysokie krzewy. „Najwyżej sześć, maksymalnie dziewięć metrów!” – wspominali. I jest siedem liczone od podstawy słupa.

„Ta skarpa była taka, że z powrotem na górę prawie niemożliwe!” Fakt, prawie niemożliwe, ale wykonalne... lecz dlaczego tak ciężko było miejsce to dostrzec?

Jest, a właściwie była jeszcze wynikła z niezrozumianego opisu czy też wadliwej interpretacji wersja C. Spacerowali górą skarpy za domem, ale przecież nie mogli tam normalnie dotrzeć!

„Nie wiem i chyba nie widziałam, bo kurwa nie patrzyłam!” - wspominała Zofia Komedowa. Marek Niziński zawiózł ją tam samochodem, żeby pokazać, wyjaśnić, że to nie wina Hłaski. To ostatnie czego wtedy chciała, a pierwsze listy, w których te wydarzenia opisywała, były rozedrgane miotającymi nią emocjami...

„To chyba nie było możliwe, bo jak by się na skarpę wdrapali?” Ależ bardzo prosto... Gdyby wędrowali górą skarpy, to mogli tam dojść spacerem ponieważ to również jest ulica. Skylark Lane. Ścieżka Skowronka ze znakomitą, wysoką widokową skarpą. Ale nie do spadania, ponieważ w najniższym miejscu to nadal ponad 20 metrów.

„Nie, takiego miejsca nie znaleźliśmy, pomimo że szukaliśmy.” Jasne, bo poza tym ściśle odpowiadającym pierwszemu opisowi Hłaski, żadnego w spacerowym dystansie nie ma, a również...

„Czasami aby dostrzec co na górze, trzeba rozejrzeć się na dole.” – Z. Komedowa

Co dalej?

Hłasko uratował Komedę. Gdy już zorientował się, że dyskutuje wyłącznie z powietrzem, zaczął szukać i dostrzegł w świetle tej drugiej, dolnej lampy Krzysztofa leżącego u podnóża skarpy. Zsunął się w dół, a kiedy zrozumiał, co się faktycznie stało, nie zastanawiając się, przerzucił Komedę strażackim chwytem przez ramię i zaczął drapać się w górę stoku. Nie dotarł do wierzchołka, zwalił się wraz z Krzysztofem przygniatając go oraz kalecząc sobie łokieć i kolano. Więc ponownie… wypełzł z Komedą na ulicę i zaczął szukać pomocy. Sąsiedzi wezwali pogotowie. W drodze

do szpitala Krzysztof odzyskał przytomność i zwymiotował. Następnego dnia wypisał się ze szpitala na własne żądanie i nie poddał się badaniom kontrolnym.

Nic nikomu nie powiedzieli, z wyjątkiem Marka Nizińskiego i Ewy Krzyżanowskiej. Bo co mieli opowiedzieć? Że dwaj znani i uznani polscy artyści, nagradzany w Europie pisarz buntownik oraz rozpoczynający błyskotliwą karierę w Hollywood jazzman kompozytor... spili się w trupa i sp.....lili z własnej ulicy?!

Mijały kolejne miesiące.

W pierwszym, w październiku chłopcy odreagowywali i zacierali ślady. Zwłaszcza Krzysztof, odpowiadając na zadawane mu pytania: że nie, nie jest ofiarą samochodowej kraksy, a to jak wygląda jego posiniaczona twarz z podbitymi, zapuchniętym oczami to skutek przemęczenia pracą, i być może grypa?

A Marek miał obawy. Tak, jakby czujnie obserwując przyjaciela, coś przeczuwał.

W drugim miesiącu, w listopadzie Komeda zakończył zgrywanie muzyki do „The Riot" i rozpoczął planowanie zimowych wakacji. Narciarskiej wyprawy we włoskie Dolomity. Ale pomimo tego, że zasinienia i obrzęki twarzy ustały, oraz rozpoczął kurację związaną z przechodzoną grypą HongKong, czuł się coraz gorzej. Zaczęły się zawroty głowy, krótkie omdlenia i chwilowe zaniki pamięci. Coraz bardziej natarczywe, ostre bóle głowy. Więc kolejny antybiotyk, witaminy i aspiryny. Aspiryny!

A Marek miał obawy. Tak, jak by czujnie obserwując przyjaciela, coś przeczuwał...

W grudniu zaczęły się prawdziwe problemy. Krzysztof opuścił dom przy Oriole Lane, chociaż nadal go wynajmował i powrócił do hotelu Sunset Marquis. Coraz częstsze utraty przytomności lub nagłe kilkuminutowe śpiączki, powracające opuchlizny pod oczami, brak apetytu i łaknienia. Bolesne reakcje na mocniejsze światło i napady koszmarnych bólów głowy. I nadal wszystko w tajemnicy! Dziwne, bo przecież był lekarzem laryngologiem, więc chyba się domyślał, że zażywając lekarstwa na grypę... jeżeli to nie grypa, lecz krwiak i uszkodzenie mózgu, to?

Dziewiętnastego grudnia 1968 roku, po kolejnej utracie przytomności, został przyjęty do szpitala z podejrzeniem poważnych komplikacji po przebytej grypie. Antybiotyk, aspiryna... Aspiryna!

22 grudnia rano, w trakcie obchodu, Marek Niziński powiedział przez kompletny przypadek prowadzącemu Komedę lekarzowi o incydencie na Oriole Lane.

Natychmiastowe badania, konsylium, operacja! Nieudana. Krzysztof Komeda zapadł w śpiączkę.

Zofia przyleciała do Los Angeles dwa tygodnie po operacji i przez następne trzy miesiące opiekowała się swoim nieprzytomnym, umierającym mężem.

19 kwietnia 1969 roku przywiozła Krzysztofa do Polski. Warszawski szpital przy ulicy Oczki czekał. Komeda zmarł 21 kwietnia, nie odzyskawszy przytomności.

Dlaczego Zofia Komedowa dotarła do LA dopiero dwa tygodnie po operacji? To dobre pytanie... Ponieważ o niczym nie wiedziała, ale to już inne, równie smutne opowiadanie.

DOLBY THEATRE
WARNING! DOOR MAY OPEN SUDDENLY

Przypisy:

http://tomaszraczek.pl/dorobek/tv/id,37o/Kultowe-Rozmowy-Andrzej-Krakowski.html
„Piękni trzydziestoletni”, Marek Niziński, Wiadomości Londyn 27.01.1971
jazzforum.com.pl
„Roman by Roman Polański”, 1984 by Europart B.U.
„Roman”, Roman Polański, Wydawnictwo Polonia 1989
„Czas Komedy”, Dionizy Piątkowski, ALPIM 1993
„Komeda, Zośka i Inni”, Zofia Komedowa Trzcińska, Komeda Music 1996
„Komeda”, Marek Hendrykowski, WMwP 2009
„Komeda. Księżycowy chłopiec”, Emilia Batura, Rebis 2010
„To był jazz”, Andrzej „Idon” Wojciechowski, Fundacja Wytwórnia 2012
„Ostatni tacy przyjaciele. Komeda. Hłasko. Niziński”, Tomasz Lach, Latarnik 2013
„Nietakty. Mój czas, mój jazz”, Zofia Komedowa Trzcińska, Szelest 2015
„Kumpel. O Komedzie, Zośce i Innych”, Tomasz Lach, Muza 2017
„Komeda. Osobiste życie jazzu”, Magdalena Grzebałkowska, Wydawnictwo Znak 2018
„Komeda”, dokument, reż. Krzysztof Riege Tv, 33 min., 1973
„Czas Komedy”, dokument, reż. Robert Kaczmarek, Mariusz Kalinowski Tv, 57 min., 1994
„Wybrańcy bogów umierają młodo”, dokument, reż. Krzysztof Bukowski Tv, 45 min., 1999
„Dekalog Komedy”, dokument, reż. Grażyna Banaszkiewicz Tv, 15 min. 2009
„Komeda: Soundtrack for a Life”, dokument, reż. Claudia Buthenhoff-Duffy, 52 min., 2009
„Komeda, Komeda...”, dokument, rei. Natasza Ziółkowska-Kurczuk Tv, 1 g. ło min., 2012
„Komeda”, dokument, reż. Marcin Stich, TVN 42 min. 2018
„Ostrowski czas Komedy”, Pro Art 2021 r.
Archiwum Krzysztofa Komedy, 31 kat. Biblioteki Narodowej 2024
Tomasz Lach „Listy w sprawie Komedy”, „Jazz Forum”, 2019
Dionizy Piątkowski „Komeda on records”, „Era Jazzu” 2022

rewindthetimesdotcom.wordpress.com
paramount-pics.fandom.com
www.statista.com I medium.com
silentlocations.com I screenrant.com
medium.com I mynewbrunswick.ca
musicbehindthescreen.blogspot.com
harlowdarling.com I cms.concept3d.com
zillow.com I redfin.com I realtor.com
pardeeproperities.com I istagram.com
compass.com I weatherspark.com
extremeweatherwatch.com I abc7.com
accuweather.com I wunderground.com
timeanddate.com I laist.com I latimes.com
pubmed.ncbl.nlh.gov I en.m.wikipedia.org
waterandpower.org I valleyair.org
reddit.com I m.yelp.com I m.lmbd.com
marquest.com I discoverhollywood.com
paramountstudios.com I findagrave.com
marjoriemag.wordpress.com
memory-alpha.fandom.com
biltmorehotel.la.com I hyatt.com
thehollywoodroosevelt.com

Listy w sprawie Komedy Tomasz Lach
Jazz Forum 2019

Hollywood Foreign Press Association
Certificate
of
Nomination For Award
Be it known that
Rosemary's Baby
was nominated for a Golden Globe Award of Merit
for Outstanding Achievement
Best Original Score in a Motion Picture
Christopher Komeda
This judgement being rendered with reference to Motion Pictures
which have qualified for consideration by the Hollywood Foreign
Press Association during the year ending 1968
PRESIDENT
SECRETARY

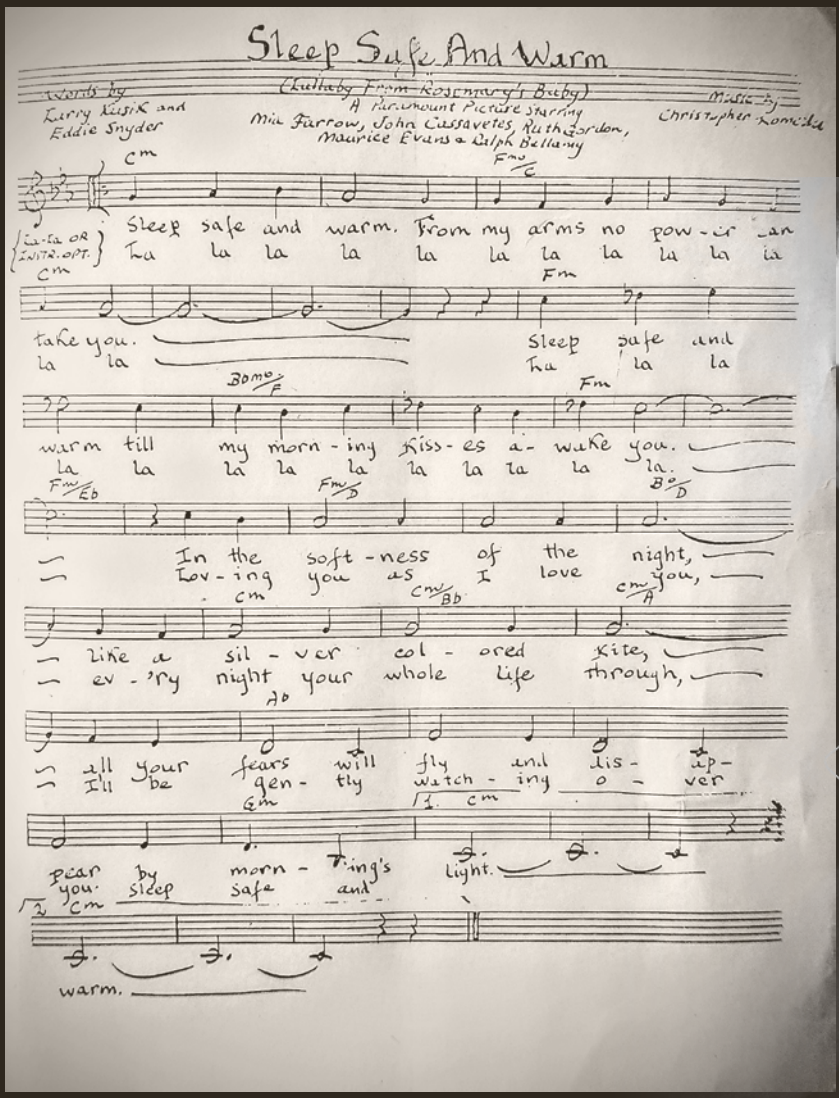
Sleep Safe And Warm
(Lullaby From Rosemary's Baby)
A Paramount Picture starring
Mia Farrow, John Cassavetes, Ruth Gordon,
Maurice Evans & Ralph Bellamy
Words by
Larry Kusik and
Eddie Snyder
Music by
Christopher Komeda
Sleep safe and warm. From my arms no pow-er can take you.
La la la la